

Wanda Wróblewska  
Sady Żoliborskie 9 m 23  
01-772 Warszawa  
tel. 39-55-52

"Wolność"

*fakty* Wspomnienia z okupacji

Przede wszystkim muszę prosić o wybaczenie jeżeli te wspomnienia są zbyt szczegółowe, zdarzenia nie najważniejsze, ale po pięćdziesięciu latach wiele spraw umknęło z pamięci, te które pozostały ukazują chyba koloryt naszego ówczesnego życia, na którym fakty rysują się wyraźniej.

Na przełomie 1939-1940 roku z rekomendacji Janiny Pollakówny - pseudonim "Ewa" zostałam przyjęta do organizacji PPS "Wolność".

Po złożeniu przyrzeczenia znalazłam się w piątce łączniczek. Były to: Joanna Minkiewicz - ps. "Barbara", Barbara Reńska - ps. "Sława", Maria Szczęсна - ps. "Felicja" i Irena Kwiatkowska, pseudonimu nie pamiętam.

Ja przybrałam sobie ps. "Joanna". Potem dodawano czasem "Joanna Biała", w odróżnieniu od "Joanny Czarnej" - Janiny Askenszowej i Joanny Prawdziwej - czyli Joanny Minkiewicz.

Zasady konspiracji traktowaliśmy z początku tak dosłownie, że nawet z moim mężem, Andrzejem, który równocześnie wstąpił do "Wolności", nie wyjawiliśmy sobie naszych pseudonimów. "Wolność" skupiała przede wszystkim dużo inteligencji z PPS-u i ZNMS-u. Między innymi Wacław Zagórski, Wacław Wagner, Leszek Raabe, Henryk Greniewski, dr Helena Wolf, Zbigniew Mitzner, Andrzej Wróblewski, Jan Topiński i wielu innych. W tym było nas wiele ludzi teatru. M.in. Pollakówna, Kwiatkowska, Szczęсна, Jadwiga Goska-

*N. W.*  
wska, ja, Wacław Modrzeński, Zdzisław Szymański, Dobiesław Damięcki. Potem wiążą się z nami nasi wybitni profesorowie: Leon Schiller, Zofia Małynicz, Bohdan Korzeniewski, Jadwiga Turowicz.

Organizacja wydawała pismo "Wolność". Moim pierwszym zadaniem łączniczki-kolporterki było doręczenie pakietu nie znanej mi osobie o pseudonimie "Pliwa". Szłam przez plac Wilsona kiedy poczułam twardą rękę na ramieniu. Był to "granatowy policjant". "No, dość długo wam się udawało" - mówił ostro - "ale teraz zrobimy z wami porządek!". Przez głowę przebiegały mi myśli: wyrzucić z pamięci od kogo i dla kogo ta paczka, nie okazać strachu itp. "Nie wie pani którądy się przechodzi? A wy wciąż przechodzicie na skos" - krzyczał pan Władza, a ja spojrzałam na niego naiwnie. "Ma pan rację, już nigdy nie będę", ale zapamiętałam, że jeżeli ma się coś trefnego - nie należy "przechodzić na skos" i tracić pewności siebie. Potem wszystko potoczyło się według planu: stanęłam na rogu Krasieńskiego i Stołecznej i przeglądałam się w lusterku. W przeciwnym domu, u Sióstr, ktoś wyjrzał przez okno, a po chwili podeszła do mnie młoda osoba i zapytała: "Czy pani czeka na Edwarda?". "Nie, na Władysławie". "Nie mógł przyjść, ale jutro go zobaczę". Umówiony szyfr sprawdził się i oddałam pakiet "Pliwie". Był to pseudonim Halszki Czarnikowej.

Przez dłuższy czas chodziłam do prof. Emila Kipy z pismami i poleceniami.

Poza "Ewą" i Bronisławem, z którymi łączyła nas przyjaźń jeszcze przed wojną, najbliższymi przyjaciółkami stali się Wacek Zagórski /Daniel, Wiktor Heltman/ i jego żona Barbara Reńska, Henryk Greniewski /Bogumił/.

Mieszkanie Zagórskich na Trębackiej jest przede wszystkim

centralnym punktem "Wolności".

Umówiliśmy się, że w razie wssy, gdyby ich wyprowadzali rozbiją szybę w reklamowej gablocie na klatce schodowej, co byłoby ostrzeżeniem dla nas. Toteż na wiadomość, że szyba stłuczona, ogarnęło nas przerażenie o ich los. Po dwóch dniach nie mogłam już tego wytrzymać i postanawiam zbadać sytuację. Plan był następujący: obiecałam Andruskowi, naszemu pięcioletniemu synkowi, że pojedziemy tramwajem, jeżeli będzie prędko gotów do wyjścia. W tramwaju przypomniał sobie, jak przewidywałam, że nie zdążył zrobić siusiu. "Te wysiadziemy tu" - powiedziałałam - "znam taki dom, gdzie ubikacja jest na klatce schodowej" i, mając w razie czego wytłumaczenie po co idziemy, weszliśmy na schody i zaraz spotkaliśmy Basię. Szybę stłukł ktoś, oni nawet tego nie zauważyli, byli tylko zaniepokojeni, że nikt do nich nie przychodzi.

Jesienią 1940 roku zamieszkałiśmy razem z Zagórskimi na Nowogrodzkiej 20. Mieszkanie w Śródmieściu było wygodnym adresem dla "wolnościowców". Przez nasz dom przewijały się tkumy. Sprawy organizacyjne przeplatały się z prywatnymi. Stażę napięcie równoważyła zabawa, wódka, a dzięki naszemu synkowi - życie rodzinne. Synek, Andrzej Krzysztof zwany Andruskiem, odgrywał dużą rolę w naszym domu. Dzięki niemu robiłam zabawki na choinkę, kiedy akurat przyszły ze Szwecji pieniądze dla "Wolności" i był problem, gdzie je schować. Wymyśliłam, że w grzybkach i krasnalach na choince nikt ich szukać nie będzie. [W zabawach dzieci często odbija się życie.

Naturalnie nie wtajemniczaliśmy Andruska w sprawy organizacji, ale coś widać przesiąkało, bo...

Przyjaźniliśmy się z Henrykiem Greniewskim i zaprzyjaźnili się nasi synowie, zwłaszcza, że mieszkaliśmy blisko siebie. Ma-

rek był niewiele starszy od Andruska.

Od pewnego czasu zauważyliśmy, że chłopcy proszą o pieniądze. Na pytanie, na co są im potrzebne, odpowiadali tajemniczo - "na wolność" i dostawali groszaki. Na co? Wkrótce dowiedzieliśmy się, że pierwotnie składali na zakup armaty, którą chcieli umieścić w oknie Marka, wychodzącym na Marszałkowską, i wystrzelać przechodzących Niemców; ale że - jak to się już kiedyś w historii zdarzyło - nie było armat, szukali innego sposobu: kupowali zupy w kostkach itp. Mieli bowiem obrazki, na których Indianie przywiązywali kowbojów sznurami do słupów. Tak wyobrażali sobie nasi chłopcy Polaków w niewoli i wymyślili, że trzeba im posłać żywność, żeby byli grubszy, sznury by pękły, a wtedy przyjdą i uwolnią Polskę.

Wkrótce zmieniliśmy mieszkanie i "organizacja" automatycznie się rozwiązała.

Przez pewien czas rezydowałam w sklepie z naczyniami kuchennymi na Próżnej. Tu przyjmowałam i oddawałam naszą prasę i różne zlecenia, odciążając trochę dom od spraw organizacyjnych.

W związku z nie pamiętam jakim naszym świętem narodowym zawiadomiono nas, że wszyscy mamy rysować na murach trzy strzały. Wydawało mi się, że raczej może to wykonać jakiś chłopak i prysnąć, niż elegancka pani w kapeluszu /starażymy się dbać o swój wygląd, a chodziło się wtedy w kapeluszach/. Ale rozkaz to rozkaz. Czekałam na tramwaj przy bazarze na Grójeckiej. Stałam plecami do tylnej ściany jakiejś budki i przekładając prawą dłoń pod lewą pachę wyobrażałam sobie, jak mając kredę w ręku mogłabym rysować te strzały. W Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej nazywało się to ćwiczeniem bez rekwizytu. Wróciłam na przystanek i zauważyłam,

że ludzie odsuwają się ode mnie, z obrzydzeniem patrząc na budkę. Spojrzałam i zobaczyłam dopiero teraz, że ściana była pokryta rysunkami wiadomych części ciała z napisami. Naturalnie mnie wzięto za autorkę.

Opowiedziałam w domu tę przygodę. Rozeszła się, ubawiła wszystkich, a panie zostały z pisania na murach zwolnione.

7 marca 1941 r. przyszedłam rano do Damięckich. Mieszkali przy ul. Ludnej 5. Miałyśmy iść z Ireną Górską-Damięcką do krawcowej. Damian /pseudonim Damięckiego/ poszedł jak zwykle do ZASP-u /Związek Artystów Scen Polskich/, gdzie był sekretarzem generalnym, a Irena do sąsiadów, żeby zatelefonować do krawcowej. Po chwili wróciła z wiadomością, że został zastrzelony Igo Sym. Sym przed wojną był znany jako aktor, podczas wojny jako współpracujący z Niemcami, namawiający aktorów do brania udziału w bojkotowanym przez środowisko teatrze i filmie. Naturalnie o krawcowej nie było już mowy. Irena poszła do Związku, ja do domu, żeby po porozumieniu z Andrzejem i W. Zagórskim ściągnąć obydwójce Damięckich do nas. Wstąpiliśmy jeszcze na Ludną, żeby zabrać najniezbędniejsze rzeczy, po godzinie podobno ich dom był już obstawiony. Na razie Damięccy zostali u nas. Odbyło się też u nas zebranie, na którym byli obecni z Komitetu Głównego "Wolności" Greniewski, Wróblewski, Zagórski, z kręgów teatralnych Leon Schiller, Jadwiga Turwicz, Barbara Reńska, Wanda Wróblewska i... był ktoś jeszcze, kto - nie pamiętam na pewno, więc wolę nie podawać. Pamiętam, że kiedy przyszedł Schiller - otworzyłam mu drzwi, przywitał się trochę skonfundowany - "dzień dobry, pani Wando, ja do pani Joanny". "W porządku, panie Dyrektore, to ja". Postanowiliśmy chronić najbardziej zagrożonych, najcenniejszych. Damięccy na razie mieli pozostać u nas.

rek był niewiele starszy od Andruska.

Od pewnego czasu zauważyliśmy, że chłopcy proszą o pieniądze. Na pytanie, na co są im potrzebne, odpowiadali tajemniczo - "na wolność" i dostawali groszaki. Na co? Wkrótce dowiedzieliśmy się, że pierwotnie składali na zakup armaty, którą chcieli umieścić w oknie Marka, wychodzącym na Marszałkowską, i wystrzelać przechodzących Niemców; ale że - jak to się już kiedyś w historii zdarzyło - nie było armat, szukali innego sposobu: kupowali zupy w kostkach itp. Mieli bowiem obrazki, na których Indianie przywiązywali kowbojów sznurami do słupów. Tak wyobrażali sobie nasi chłopcy Polaków w niewoli i wymyślili, że trzeba im posłać żywność, żeby byli grubszy, sznury by pękły, a wtedy przyjdą i uwolnią Polskę.

Wkrótce zmieniliśmy mieszkanie i "organizacja" automatycznie się rozwiązała.

Przez pewien czas rezydowałam w sklepie z naczyniami kuchennymi na Próżnej. Tu przyjmowałam i oddawałam naszą prasę i różne zlecenia, odciążając trochę dom od spraw organizacyjnych.

W związku z nie pamiętam jakim naszym świętem narodowym zawiadomiono nas, że wszyscy mamy rysować na murach trzy strzały. Wydawało mi się, że raczej może to wykonać jakiś chłopak i prysnąć, niż elegancka pani w kapeluszu /starażymy się dbać o swój wygląd, a chodziło się wtedy w kapeluszach/. Ale rozkaz to rozkaz. Czekałam na tramwaj przy bazarze na Grójeckiej. Stałam plecami do tylnej ściany jakiejś budki i przekładając prawą dłoń pod lewą pachę wyobrażałam sobie, jak mając kredę w ręku mogłabym rysować te strzały. W Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej nazywało się to ćwiczeniem bez rekwizytu. Wróciłam na przystanek i zauważyłam,

że ludzie odsuwają się ode mnie, z obrzydzeniem patrząc na budkę. Spojrzałam i zobaczyłam dopiero teraz, że ściana była pokryta rysunkami wiadomych części ciała z napisami. Naturalnie mnie wzięto za autorkę.

Opowiedziałam w domu tę przygodę. Rozeszła się, ubawiła wszystkich, a panie zostały z pisania na murach zwolnione.

7 marca 1941 r. przyszedłam rano do Damięckich. Mieszkali przy ul. Ludnej 5. Miałyśmy iść z Ireną Górską-Damięcką do krawcowej. Damian /pseudonim Damięckiego/ poszedł jak zwykle do ZASP-u /Związek Artystów Scen Polskich/, gdzie był sekretarzem generalnym, a Irena do sąsiadów, żeby zatelefonować do krawcowej. Po chwili wróciła z wiadomością, że został zastrzelony Igo Sym. Sym przed wojną był znany jako aktor, podczas wojny jako współpracujący z Niemcami, namawiający aktorów do brania udziału w bojkotowanym przez środowisko teatrze i filmie. Naturalnie o krawcowej nie było już mowy. Irena poszła do Związku, ja do domu, żeby po porozumieniu z Andrzejem i W. Zagórskim ściągnąć obydwójce Damięckich do nas. Wstąpiłyśmy jeszcze na Ludną, żeby zabrać najniezbędniejsze rzeczy, po godzinie podobno ich dom był już obstawiony. Na razie Damięccy zostali u nas. Odbyło się też u nas zebranie, na którym byli obecni z Komitetu Głównego "Wolności" Greniewski, Wróblewski, Zagórski, z kręgów teatralnych Leon Schiller, Jadwiga Turwicz, Barbara Reńska, Wanda Wróblewska i... był ktoś jeszcze, kto - nie pamiętam na pewno, więc wolę nie podawać. Pamiętam, że kiedy przyszedł Schiller - otworzyłam mu drzwi, przywitał się trochę skonfundowany - "dzień dobry, pani Wando, ja do pani Joanny". "W porządku, panie Dyrektore, to ja". Postanowiliśmy chronić najbardziej zagrożonych, najcenniejszych. Damięccy na razie mieli pozostać u nas.

Schiller nie chciał zmienić mieszkania. Pozostał Jaracz. Miałam znaleźć locum dla niego. Znalazłam u Tarwidów /Tarwidowa, pseudonim "Wanda"/ na tej samej ulicy Czerwonego Krzyża, gdzie mieszkał i poszłam do niego. Nie udało mi się jednak przekonać go. Twierdził, że nie chce narażać ludzi - jego twarz jest zbyt znana - i został w domu. Wkrótce został wywieziony do Oświęcimia.

Pretekstem pobytu Damięckich u nas wobec sprzątaczk i dozorczy było, że Irena - w widocznej już pięciomiesięcznej ciąży - jest niby moją siostrą mieszkającą na prowincji, która przyjechała do stolicy do lekarza, ale kiedy po trzech dniach ukazały się na mieście listy gończe z fotografiami i obietnicą wysokiej nagrody za donos gdzie znajdują się Damięccy, rzekomi zabójcy Igo Syma, trzeba było ich przenieść gdzie indziej, a i my musieliśmy się natychmiast wyprowadzić. Zagórscy wrócili na Trębacką, my zamieszkaliśmy na Kazimierzowskiej 83.

Naszym lokalem, w którym spotykaliśmy się, był "Znachor" na Bojuena. Bywał tam Schiller, bywała Kropka - Jadwiga Gosławska, Wacław Modrzeński, Zdzisław Szymański, Apolinary Poszart. "Personel" też był nie byle jaki: szatniarzem był wybitny aktor Wojciech Brydziński, bar kawowy prowadziła Maria Flukowska. Gospodarzami byli też Kunina, Adwentowicz i Grywińska, Chaberscy; kelnerami Milecki, Kępa.

W lipcu 1942 r. Andrzej załatwiał sprawy związane z ewakuacją prof. Ireny Filozofówny z getta. Sprawa dokumentów przesunęła się o dzień i poszłam do "Znachora" uprzedzić o tym Schillera. Na szczęście zabrałam ze sobą Andruska. Schiller był w świetnym humorze, jego opowiadania, anegdoty przyciągały kolegów i coraz ktoś dosiadał się do naszego stolika, tyl-



ko synek był już senny i ruszyliśmy do domu. Sąsiadka siedząca w oknie na parterze szepnęła: "Niech pani nie idzie, gestapo na was czeka". "Mąż jest?" - zapytałam. "Nie ma". Wróciliśmy na przystanek, dziecku powiedziałam, że nie mam kluczy od mieszkania i musimy czekać na tatusia. Wsiadł z tramwaju 10 minut po godzinie policyjnej, ale udało nam się dostać do przyjaciół mieszkających w pobliżu. Do naszego mieszkania nigdy już nie wróciliśmy.

Po pewnym czasie udało nam się wynająć mieszkanie przy ul. Schroegera na Bielanach. W sąsiednim domu mieszkał z rodziną Jerzy Zagórski i Jerzy Andrzejewski, z którymi łączyła nas nie tylko "Wolność", ale i przyjaźń. Częstymi gośćmi byli też Czesław Miłosz i Janina Cękańska.

Latem 1943 r. Andrzej, jako urzędnik magistracki, spławił tratwy na Wiśle i znalazł względnie spokojną wieś koło Annopola nad Wisłą, gdzie ja w ciąży mogłam z Andruskiem spędzić lato, a mąż dopływał do nas po drodze. Wkrótce jednak zaczęto koło naszych gospodarzy budować szopę na glinę wydobywaną w naszych Jakubowicach, a potrzebną do wyrobu porcelany. Budowali "niewolnicy żydowscy", a dozorowali Ukraińcy. Któregoś dnia pijany Ukraińiec chciał strzelać do Żyda, a kiedy młody rolnik wyrwał mu karabin, Ukraińiec oskarżył go, że chciał go rozbroić, może zabić. My, którzy byliśmy świadkami zajścia, opisaliśmy jego przebieg miejscowej władzy niemieckiej. Wieczorem przyszedł do nas kierownik robót wydobycia tej gliny, Niemiec, z ostrzeżeniem, że nazajutrz mają nas aresztować i propozycją skorzystania z ciężarówki, którą nad ranem ma wysłać z gliną do innego województwa po drugiej stronie Wisły.

Tak znaleźliśmy się w Ostrowcu Świętokrzyskim. Znaliśmy tu jeszcze z Warszawy Edmunda Reńskiego /pseudonim "Leon"/, bra-

ta Basi Reńskiej-Zagórskiej. Był on kierownikiem Ostrowieckiego Komitetu "Wolności". Skontaktowałam nas z Teofilem Granatem /pseudonim "Konik"/ w Ćmielowie i Jadwigą Embinger, potem Wajsovą /pseudonimu nie pamiętam/, którzy pomogli nam urządzić się w Ćmielowie.

Pojechaliśmy na parę dni do Warszawy. Miałam zawieźć ważne dokumenty. Były w wydrążonym bochenku kartkowego chleba. Tym środkiem chleba oblepiało się boki bochenka i zapiekało jeszcze raz w piecu. Miałam go oddać w ściśle określonym terminie /w konspiracji obowiązywała punktualność/ określonemu człowiekowi w cukierni na placu Teatralnym. Jechałam na to spotkanie z Andrzejem i Andruskiem. Na Królewskiej wpadliśmy w łapankę i ustawiono nas przy ścianie domu. Była to jesień roku 1943. Po takich łapankach na ogół ukazywały się listy rozstrzelanych "zakładników", ale nie mogłam nawet bać się, myśląc z przerażeniem, co zrobić z chlebem, który nie mógł się dostać w niepowołane ręce. Nagle oficer podszedł do nas, popatrzył na naszą trójkę, na mój duży brzuch i "puść tych" - powiedział po niemiecku. Pobiegliśmy, aż się kurzyło. "Pani się spóźniła" - powiedział z naganą oczekujący mnie człowiek.

Na początku lutego urodził się w Ćmielowie mój młodszy syn.

Wkrótce potem, po napadzie grasującej w okolicy bandy NŻS-owców przenieśliśmy się do Ostrowca, gdzie mąż mój pracował w "Spożem".

Zamieszkaliśmy najpierw w gościnnym domu wspaniałego człowieka, profesora Szymańskiego. Jego cztery córki były członkami "Wolności". W domu zawsze znajdowało się miejsce dla ludzi i spraw nielegalnych. Pamiętam, jak na strychu znany poeta z Warszawy, Tadeusz Kubiak /ożeniony potem z Danutą Szymańską/, powieślał "Głos Robotniczy", a ja przychodziłam z balią i pra-

zam na tarze Jasiowe pieluchy, żeby zagłuszyć powielacz. Potem stemplowaliśmy tytuły na naszej prasie.

Front ze wschodu się zbliżał, nasz pokój zajęli Niemcy i przenieśliśmy się na teren "Spokem".

W związku z wpadką ciężarówki wysłanej do partyzantów, gestapo zabrało Andrzeja. Po jakimś czasie "Spokem" wykupiło Andrzeja i znów trzeba było wiać. Pojechaliśmy do Zakopanego i mój kontakt z "Wolnością" był zakończony.